

dodatek ABC niedzielnym

Jerzy Stokowski

Ilustr. Jadwigi Dziekońskiej

Dębno — cud polskiego geniuszu

Z Italii przyjeżdża się do Zębrydowic z poczuciem, że prze-kraczamy jakiś próg, za którym wszystko będzie mniej interesujące. O sztuce polskiej myślimy z zażenowaniem, o architekturze niemal z wstydem. Wydaje się, że plac św. Marka w Wenecji, lub

Prezbiterium interesuje świe-żością i mieniącymi się kolorami bogatych zielono - błękitnych rozświetleń. Nawa obejmuje nas ciepłem barw brązowych, czer-wonych i żółtych. Ten podział je-dyny w swoim rodzaju jest tak celowy, że od razu wchodzimy w

Właściwie wszystko malowane jest jedną gamą barw. Deski przykrywające prezbiterium cią-gną się poprzez cały kościół.

Dla nadania im miękkości ar-tysta niektóre ich partie natężał, lub kolorystycznie osłabiał. Za-sadniczo używając na całej dłu-gości tych samych patronów. Tyl-ko nad prezbiterium do wzorów o zabarwieniu białym dodał gdzieś błękitu i zieleni, tak, aby mieniąc się były zawsze żywe.

Pamiętamy, że tuż za oknem stoją wielkie lipy, i że słoneczne światło musi się przez nie prze-dzierać, aby wpasć do wnętrza. Przy tych barwach chłodnych, które stoją już poza właściwą kompozycją — mamy wrażenie, że zieleność lipy wycisnęła swoje piętno na ścianach i dywanach pu-lapu. Prezbiterium zawsze zalane jest przez to światłem z zewnątrz bez względu na to, jaka jest po-goda.

A właściwie nie ma tu nic wy-szukanego. Proste wzory. Naj-zwyklejsze kolory.

Spójny między deskami przy-kryto wąskimi listwami malowa-nymi tak, aby zawierały tonikę obu sąsiednich. Zestawienia de-sek oparte są na podwójnym ryt-mie. Jeden polegający na grze ornamentów grubych z drobnymi wzorami, inny na przeplataniu pasów ciemnych z jasnymi. Rytm nieskomplikowany, od razu zro-zumiały.

Środkowy pas brązowo - bia-

łych rozet jest centralny i od niego wszystkie inne się rozcho-dzą ku ścianom.

Na przelomie ściany i pulapu sceny figuralne, jest tu oddział rycerzy, stylizowane jelenie, pta-ki i św. Jerzy, walczący ze smo-kiem. Tych scen im bardziej ku środkowi, tym jest mniej. A to również wytwarza pewien ruch i życie.

Fantazja, aż bije nadmiarem — do tego stopnia, że malarz cią-gnąc wzór do trzeciej, lub czwartej części deski, dalej daje zupełnie inny, ale o tym samym walorze i tę samą rolę w dekoracji od-grywający.

Ściany kościoła nie są malowa-ne. Jest tylko na nich kredowy grunt, na którym prawdopodobnie miała być polichromia — nigdy później nie wykonana.

Wszystko mieni się prawie ide-alną harmonią tonów. Poziome pasy sufitu kontrastują z piono-wymi, znacznie od nich żywszymi pasami ścian. To podnosi pla-fon jeszcze wyżej, tak jakby te same barwy przez odległość były słonowane.

Przy przejściu od presbiterium do nawy tęcza biała, z po-marańczowo - zielonym stylizo-wanym, wątlm liściem jako or-namentem wybija się żywością na plan pierwszy, pogłębiając prezbiterium, a jednocześnie dosko-nale organizując grę kolorów ścian i plafonu. Przełamanie or-namentu z poziomego w piono-wy odbywa się właśnie na tle bel-

ki tęczowej, która jak wszystko w tym wnętrzu jest ustawiona z że-lazną konsekwencją, dla odgrywa-nia ściśle określonej roli dekora-cyjnej.

Nad tęczą, na granicy prezbite-rium i nawy korona drewniana,

ce zaznaczenie, że kościół jest w ogóle polichromowany, ale o tym, że jest to najlepiej malowany ko-sciół w Polsce, a z dużą słuszno-ścią można przypuścić, że i w Europie — nikt nie pisał.

Doskonałym uzupełnieniem wne-



Drewniany kościółek w Dębnie.



związująca — malowana neutral-nie, bo ma być połączeniem dwu elementów o innym natężeniu.

Samo wnętrze bez polichromi zachowałoby tylko zgrabne pro-porcje, ale stanowczo nie miałoby w sobie tej dywanowej miękkości i przytulności. Przebywanie w dębskim kościele jest przyjemno-ścią — tym większą, że dla wielu turystów niespodziewana. W przewodnikach po Polsce mamy tylko niefachowe niewiele mówią-

trza jest cechowej roboty szesna-stowieczny tryptyk. Jeden z naj-lepszych okazów polskiej sztuki na przelomie gołku i odrodzenia. Rzecz o wybitnej wartości arty-stycznej.

Wmontowano tryptyk w skrom-ne gotyckie ramy. Ornament prze-świecający malatury ścienne i pla-fonowe delikatnie ozdabia prostą całość. Boczne obrazy tryptyku ze św. Janem Ew., św. Stanisławem Biskupem, św. Janem Chrzcie-cielem i św. Mikołajem łagoda wiel-kość kompozycji centralnej.

Warto zobaczyć prymitywy — posążki świętych, Barbary, Kata-rzyny, Cecylii i Doroty, aby prze-konać się o geniuszu tkwiącym w tych wioskowych snycerzach, któ-ry choćkolwiek bez znajomości te-chniki rzeźbienia, w swoich pra-cach wielką wiarą część Bogu od-dawali.

Trudno jest nawet wymienić to wszystko co w Dębnie nie tylko warto, ale i trzeba koniecznie zo-baczyć.

Musimy wreszcie otrząsnąć się z poniżającej roli snobów dla któ-rych każdy zabytek obcy jest cudem, polski niedowarzony na-sładownictwem.

Komunikacja z Dębniem dosta-tecznie wygodna. Do Nowego Tar-



gu pociągiem, dalej 20 minut au-tobusem po dobrej drodze w kie-runku Szczawnicy. Jadący do Za-kopanego niech poświęcą jeden dzień na Dębno.

Ilustratorka artykułu, i jego au-tor są niepoprawnymi entuzjastami Dębna i chcieliby pośród wszystkich, którzy marzą o wy-jeździe za granicę a wstydzą się, że poprzestawiać muszą na krajo-wych zabytkach — wytworzyć ambientę poznania naszej sztuki, bo nie jest od obcej gorsza, a tyl-ko ignorowana.

Zobaczcie Dębno, a spewnością spotkamy się potem z plecaka-mi, odwiedzając kościołki polskie-go Spiszu. Rozbudzicie w sobie głód sztuki i niesłychaną dumę, że jesteście dziedzicami takich wspaniałości

Nad Czarną Drogą żyją ludzie bezdomni w Łodzi

— Pah! — pah! — pah! — pah! — krótko, urwanie oddycha ma-lutka lokomotywa, wlokąc za so-bą ciężkie wagony, naładowane węglem. Od razu widać, że to pra-ca ponad jej siły i przychodzi jej z trudnością. — Pah! — pah!... — słabnie, i kiedy zdawało się, że już stanie, a ciężar czarnych ka-mieni pociągnie ją do tyłu, naraz zebrała się w sobie i ostatnim wy-siłkiem zmęczonych kół, wtoczyła się poza otwartą szeroko bramę fabrycznego składu. — Pah!... — sapnęła z ulgą.

Konie, które co rano odbywają swój spacer po szerokim placu Poznańskiego, odczuwają dziwny i niewytłumaczony lęk przed pra-cowitą lokomotywą. Strzyga usza-mi z niepokojem, skacząc w bok i cofając się przestraszone w kie-runku bliskiego plotu, za którym są koszarzy i stajnie. Konie arty-le-ryjskie przeważnie panują dumnie nad swoimi nerwami, zawsze jednak zdradzają chęć ucieczki przed zasapaną lokomotywą. I te-ra-raz, kiedy lilipucia i czerwona wyjeżdża szybko z poza drewnia-nego ogrodzenia, przebiegają nie-spokojnie nogami i drżą.

— Za czołowym z ujeżdżalni maaarsz!

Podrywają z miejsca i klasują nierówno. Jedący na nich naoklep żołnierze, klną.

WIZYTA POD GOŁYM NIEBEM

Uliczką, którą nazwano „Czar-ną Drogą”, wracam z powrotem na plac. Trawa ociera się o buty z szalestem. Wyrosła duża i bujna, i doskonale ukrywa różne ze-lastwo, porozrzucane Bóg wie przez kogo, raz za razem potra-cając z tępym brzękiem.

W załamaniu plotu, otaczające-go fabrykę dykty i toru kolejowe-go, za którym stoi kilka pustych wagonów, — przycupnął rzalutki

wózek na dwóch kółkach, dysziem oparty na ziemi. Nie większy jest od tych, którymi latem wożą lody i wodę sodową. — Obok niego dymiąca kuchenka na trzech kół-kach nóżkach, na trawie porozkła-dane płachty, przypominające kształtem bieleżną, kawałki drze-wa, coś w rodzaju siekiery — a przy torze jakaś kobieta z dzie-ciem na kolanach i zajętych zaba-wą dwóch chłopców. Kobieta przy-głąda mi się obojętnie, niechętnie nawet.

Smrodliwy dym kuchenki kołu-je tak, aby mnie ogarnąć czarnym oddechem, kiedy stoję bez słowa i patrzę na to nędzne gospodar-stwo.

— A gdzie mąż?

— Idzie właśnie — mówi kó-bietka. Dziecko na jej kolanach pla-cze, więc odpina guziki bluzki i karmi je. Łapczywe, głodne astecz-ka z westchnieniem przywarły do suchej piersi.

RODZINA

Nazywa się Franciszek Dąbrow-ski, z zawodu blacharz. Średniego wzrostu. Chodził powoli, przęga-biony, a w tym pochyleniu oczu-wa się ból. Ma spódnice wytarte na kolanach, pocerowane pośpiesz-nie i czapkę, która kiedyś była jasna. Nie chce, abym mu się przygłądał, bo ucieka przed mo-im wzrokiem, ukrywając zała-wione oczy.

— Pan rozumie... — mówi ci-cho, grzebiąc kawałkiem drzewa w wygasającym stale żarze ku-chenki — pan rozumie, ile dzi-siaj może zarobić blacharz, praw-da?... Idę na cały dzień i przyno-szę 20 groszy, 50... A to nie star-czy, prawda? — podnosi na mnie smutną twarz.

Żona — inna. Kiedy mówi, sło-wa grożą. Jej skarga jest krzyk-liwa, zrozpaczona. Pełno w niej przekleństw. — Gdzie już nie by-

ła!... Właśnie — o to chodzi, u ko-go jeszcze nie była, komu jeszcze swej nędzy, nie wyciągała przed syte oczy, przed kim suchych rąk nie załamywała jak w modlitwie. No i nie chcą pomóc! Dlaczego nie chcą?

— Danielcia ma już półtora ro-ku i widzi pan? Ciągłe ją karmię piersią, bo co mam zrobić. Krzy-czy, że głodna, a co jej dam? Ta-ką żupę z cebuli? — Placze. Jed-ną ręką obejmuje mocno malcóstwo, drugą zwinęta w kulak, o-ciera łzy.

— Tyle tylko, że dobrzy ludzie pomoga — mówi mąż — Bóg ich przysłał, kiedy ci z urzędów Bo-ga nie znała.

Woła do siebie obydwu malców, bawiących się przy torze. W po-bijaną miskę nalał wody i szoru-je jednemu twarz ostrą szmatą. Chłopak krzyczy, że boli.

— No to, cholera jasna, brud-ny chesz chodź! — i zwracając się do mnie: — Jeden ma 3 lata. Zbyśio, a drugi, Franek, 5 lat. Ale wody to się boją strasznie. Bo i co to się dziwić, panie. Mnie sa-memu przykro się myć taką szma-tą.

BEZDOMNI

Historia ich życia jest czarna — reprezentacyjnym kolorem nę-dzy. Gdzieś na początku jest wie-sady, pola i las. Wieś nazywała się Korzeniów i leży w białostoc-kiem.

Kiedy było jeszcze trochę robo-ty, jakoś żyli — ale później... Zde-cydowali się więc ruszyć do mia-sta. Ojciec zrobił taki wózek, przy-mocował kółka i pojechali w świat, a w wózku cały ich doby-tek: trochę pościeli i troje dzieci.

Rozpoczęła się włóczęga od mia-sta do miasta. Zebrałi. Ten dał, tamten przegnał kijem i od zło-dziejów nawymyślał. Lzy nie po-magały, modlitw nie starczało.

I tak jakoś przywędrowali do stolicy. Myślą: może tu będzie ina-czej, bo to stolica, jest Pan Pre-zydent, Rząd — chyba nędzy nie ma, więc i im umrzeć nie pozwo-lą. Owszem, Opieka Społeczna za-interesowała się nimi, ale kazała jechać do Łodzi.

— Bo my łodzianie, my stąd... Może pan wie, Zakątna, a nu-mer 25...

— I co dalej?

— Nic. Opieka w Łodzi zapraco-wana. Ja mówiłem, zaklinałem, że bez dachu żyjemy, ale kazali cze-kać na kontrol. To czekamy. Już 3 tygodnie tak jest i tej ich kontro-li niema.

— Oni chcieli, — podpowiada kobieta — żeby im książkę mel-dunkową przyniosła. Uparli się na tę książkę, a przecie pole książ-ki nie ma i skąd ja im wezmę. Za-melduję się? — a gdzie, gdzie mi dadzą darmo mieszkanie?... Żeby ich tak pokarało — wybucha na-gle, ręce zaciskając nad głową — żeby ich tak pokarało za tę naszą poniewierkę, za ten bród, głód i zimno! Żeby ich...!

Tylko mąż zawsze spokojny. Załzawionymi oczami patrzy przed siebie, a potem w niebo.

— Daj spokój, matka, burza idzie — mówi.

PLAMY

Burze przechodzą — odchodzą. „Od św. Hanki, zimne wieczory i ranki”, a przy Czarnej Drodze żyje pod gołym niebem rodzina — 5 osób, owa „podstawowa komór-ka w społeczeństwie”. Uczenie.

Ludzie zaś w tym chociaż wy-padku — jak burze: przechodzą i odchodzą. Popatrzą, pożalają i idą. Albo to im nowina? Łódź — wielkie miasto, nędzy ma dość. Tych plam chorobowych.

A komisja nie przychodzi.

Któżby papierki z rąk do rąk przekładał.

H. H.